

Dlaczego i jak prawo autorskie ogranicza otwieranie zasobów nauki? Why and how copyright law restricts open science resources?

Streszczenie: Autorka wyjaśnia bariery prawnoautorskie, które ograniczają swobodne upowszechnianie treści naukowych w Internecie. Wskazuje, że prawo nie przystaje do globalnej wymiany informacji i powinno być zreformowane. W prawie autorskim brak nowych pojęć takich jak domena publiczna i brak jej szczególnej ochrony. Biblioteki mają mnóstwo problemów z upowszechnianiem wiedzy i na nie wskazuje autorka podając jednocześnie przykłady dobrych praktyk i rozwiązań.

Summary: The author explains copyright barriers which restrict the free dissemination of scientific content on the Internet. Indicates that the right does not belong to the global exchange of information and should be reformed. In copyright There are no concepts such as the public domain and lacks the special protection. Libraries have a lot of problems with the dissemination of knowledge and not giving the author shows examples of good practices and solutions.

Słowa kluczowe: prawo autorskie, reforma prawa autorskiego, Internet a prawo autorskie
Keywords: copyright reform, copyright in Internet

Historia **prawa autorskiego rozpoczyna się od przyznania przywilejów i zapewniania** monopolu drukarniom brytyjskim. Pierwsze zapisy prawne tworzyli drukarze zrzeszeni w Worshipful Company of Stationers and Newspaper Makers. Z początkiem XVIII wieku zagwarantowali oni sobie monopol na drukowanie książek przy jednoczesnym zakazie ich kopiowania i na dodatek ze zgodą na cenzurowanie. Po protestach autorów zmienili nieco podejście na rzecz przyznania niektórych praw twórcom, ale tak, by interesy drukarzy były dobrze reprezentowane. W roku 1710 zatwierdzono tzw. Statut Anny An Act for the Encouragement of Learning, by Vesting the Copies of Printed Books in the Authors or Purchasers of Copies, during the Times therein mentioned. Była to pierwsza ustawa o prawie autorskim w Europie i w zasadzie miała zastosowanie głównie w kontekście kopiowania książek, z czasem poszerzono zakres ochrony o inne pola. Na początku czas ochrony wynosił tylko 14 lat. Pochodzenia tego prawa pokazuje, jaki duch mu przyświecał i raczej nie miało to nic wspólnego z szeroko pojętym dobrem społecznym.

Do dzisiejszej rewolucji społecznej i technologicznej **przepisy prawa autorskiego pisane w takim duchu nie przystają**, nie tylko nie nadążają za zmianami, ale nie odzwierciedlają rzeczywistości, w jakiej twórcy, naukowcy, animatorzy kultury czy wreszcie zwykli konsumenci obecnie pracują. Zmieniły się technologie, modele publikowania, metody pracy twórczej i zasady archiwizowania czy udostępniania tej twórczości. Zmienia się także podejście młodych ludzi do stanowienia prawa, chcą oni współdecydować o jego kształcie w szerszym zakresie niż dawniej. Pokazały to protesty przeciwko umowie ACTA ograniczającej wolność w Internecie. Prawo autorskie stało się ważne w tej debacie, bo — jak się okazało — jest uciążliwe dla setek konsumentów i twórców informacji.

Jednym z głównych problemów jest to, że **prawo autorskie różni się w poszczególnych krajach**, co nie sprzyja globalnemu, sieciowemu przepływowi wiedzy i zjawisk kultury. Obecne przepisy prawa autorskiego **nie dają twórcom**

pełnej swobody, szczególnie tam, gdzie autorowi nie zależy na tak restrykcyjnej ochronie. Formuła *wszystkie prawa zastrzeżone* — i to arbitralnie, z góry — nie pasuje do elastycznych, dynamicznych czasów, w których każdy autor musi codziennie podejmować bardzo odmienne od siebie decyzje dotyczące upowszechniania różnorodnego dorobku. Często, mimo powszechnej opinii, że prawo autorskie ma chronić autorów, jest ono źle używane przez producentów i dystrybutorów treści. Zawłaszczanie praw przez producentów, OZZ, wydawców jest konieczne dla biznesu, przygotowują oni zatem bardzo skomplikowane i niezrozumiałe umowy w nadziei, że autorzy nie będą z tymi zapisami dyskutowali. W przypadku znanych i poczytnych twórców, istnieje możliwość negocjowania warunków przekazania praw, ale już naukowcy nie są w tak komfortowej sytuacji, ich prace są niszowe i w pojedynkę nie generują przychodów, za to w swojej masie tak — i to ogromne (bazy danych Elseviera, Springera czy Emeraldy kosztują krocie).

Podstawą tworzenia wszelkich praw jest umowa społeczna, zakładająca sprawiedliwe uwzględnienie interesów wszystkich stron, a w przypadku prawa autorskiego przede wszystkim twórców i użytkowników. Ponieważ te dwie role zaczynają się zlewać — twórca jest bardzo często jednocześnie użytkownikiem i odwrotnie — jest to w dzisiejszych czasach szczególnie ważne. **Prawo autorskie nie równoważy interesów tych dwóch stron**, staje się — pod naciskiem bogatych lobbystów — coraz bardziej restrykcyjne dla użytkowników i wcale nie tak bardzo przyjazne dla autorów, za to mocno chroni praw producentów i wtórnych właścicieli treści (producentów naukowych baz danych, muzyki, filmów itp.). Jest to niebezpieczna tendencja.

Gdyby prawo autorskie nie było obligatoryjne dla wszystkich, ale np. opierało się o możliwości rejestrowania utworów, które twórcy chcą chronić, to szybko powstałaby rejestr utworów chronionych wraz z adresami właścicieli, a obrót nimi stałby się prostszy.

Nie we wszystkich krajach prawo autorskie **definiuje pojęcie „domena publiczna” oraz zapewnia jej ochronę przez** zakaz jej zawłaszczania, czy jasne określenie, które materiały należą do domeny publicznej już od chwili stworzenia. A wydaje się, że jest to w tej chwili sprawa pierwszorzędna, bo ochrona domeny publicznej jest związana z ochroną praw do bardzo szerokiego wykorzystania treści w nauce, kulturze i edukacji. *Wszystkie zasoby wytworzone i będące w posiadaniu instytucji publicznych lub finansowane ze środków publicznych są szczególnym rodzajem treści, który powinien być traktowany jako dobro wspólne i znajdować się w domenie publicznej.* Art. 4 prawa autorskiego w obecnym brzmieniu wyłącza co prawda spod ochrony wiele dóbr należących do podmiotów publicznych takich jak: akty prawne, dokumenty urzędowe i materiały urzędowe, obserwujemy jednak w Polsce niebezpieczną tendencję ignorowania lub zawężającego interpretowania tej regulacji przez organy władzy [1].

By zilustrować panującą w tym zakresie dowolność działania i bałagan panujący w Polsce, porównajmy dla przykładu stopkę stron [www.MNiSW](http://www.nauka.gov.pl/) <http://www.nauka.gov.pl/>, gdzie *wszystkie prawa są zastrzeżone*, ze stopką MAiC <http://mac.gov.pl/> — gdzie *nie wszystkie prawa są zastrzeżone*, a treści udostępniane na wolnych licencjach. Polskie instytucje publiczne, jak widać, nie mają wspólnej polityki upowszechniania treści urzędowych, jakkolwiek zarówno ustawa o dostępie do informacji publicznej, jak i prawo autorskie dają im szerokie możliwości przesunięcia treści do domeny

publicznej. Podatnicy odnoszą wrażenie, że różnice te wynikają ze strachu urzędników przed stosowaniem interpretacji korzystnych dla obywateli. Wydaje się, że w polskich urzędach obowiązuje stara zasada: lepiej się nie wychylać, niż poszukać pozytywnych i nowatorskich rozwiązań. Przykładem ilustrującym tę tezę jest nagminnie stosowane w urzędach podpisywanie umów autorskich z przenoszeniem praw, po czym upowszechnianie ich na zasadzie „wszystkie prawa zastrzeżone” oczywiście w takim przypadku na rzecz urzędu, z przecież można to zrobić inaczej, z korzyścią dla obywatela: *Poza dobrami publicznymi tworzonymi wewnątrz — podmioty publiczne nabywają prawa od osób prywatnych w drodze umów lub dziedziczenia. Nie ma jednak żadnego uzasadnienia, aby po nabyciu praw przez podmiot publiczny utrzymywać wyłączność wynikającą z praw autorskich i w ten sposób ograniczać dostęp do nich [1].*

Powszechną bolączką, także w świecie nauki, jest nadużywanie przez producentów treści słowa *piractwo*. Wszyscy są piratami — jak wynika z doniesień mediów — każdy kto pobiera plik z sieci jest piratem, kradnie cudzą własność. Obok tych prostych oskarżeń nie pojawia się jednak wyjaśnienie szczegółowe, kiedy faktycznie kradzież utworu ma miejsce, a kiedy korzystamy z dozwolonego użytku. Jest to poważne nadużycie ze strony wszystkich, którzy taki przekaz generują, powodują oni bowiem w głowach ludzi poważny zamęt, stres i poczucie strachu. Pobieranie plików w sieci mieści się w zakresie dozwolonego użytku nie tylko osobistego, ale i edukacyjnego. Wystawianie, upowszechnianie cudzych utworów w Internecie — JUŻ NIE — taki przekaz trzeba jasno produkować. By to wyjaśnić studentom i odkręcić fałszywe odczytywanie prawa, organizuje się debaty o piractwie na uczelniach

Notoryczne nadużywanie przepisów prawnych przez producentów i dystrybutorów treści, przejawia się także przez nadinterpretację i wprowadzanie nieuprawnionych ograniczeń zarówno umownych (np. zakaz wypożyczeń międzybibliotecznych) czy pozaumownych (np. zabezpieczenia techniczne DRM, które nie pozwalają skorzystać z prawa dozwolonego użytku), wykorzystując powszechną nieznamość prawa, dystrybutorzy stosują niedozwolone klauzule o zakazie kopiowania lub nakazie kopiowania 20% tekstu z całości (w Bibliotece Narodowej w Warszawie jeszcze do niedawna taka zasada obowiązywała), a pełnoprawnych użytkowników treści nazywają złodziejami i piratami. Jedynym wyjściem z tego zakłętego kręgu jest studiowanie prawa autorskiego i uczenie jego podstaw już od szkoły podstawowej, a także walka o taką jego zmianę, by szła zgodnie z duchem czasów i pozwalała większości swobodnie – bez stresu i obaw — wymieniać się wiedzą czy kulturą. Nie wolno pozwolić wzrastać nowemu pokoleniu w przekonaniu że jest notorycznym przestępcą.

Poniżej przedstawiam garść przykładów praktycznych ze świata nauki, które pokazują bariery, na jakie napotyka ona w swobodnym upowszechnianiu swoich treści.

Czy wolno nam archiwizować zasoby sieci? Bardzo ważnym zadaniem bibliotek jest gromadzenie i zabezpieczenie zasobów nauki i kultury — od niedawna także cyfrowych. Pojęcia cyfryzacji i digitalizacji nie są w prawie wyrażone *explicite*. Daje to pole do różnych interpretacji przepisów. Przykładem tego są interpretacje prawników przygotowane dla Biblioteki Narodowej w zakresie archiwizacji zasobów polskiego Internetu. Stwierdzili oni, że prawo autorskie w Polsce nie zezwala na archiwizowanie zasobów Internetu, a konsekwencją tych interpretacji jest fakt, że Biblioteka Narodowa w Warszawie do dziś nie zaczęła skanować polskiego

Internetu. Prawnicy nie mogą uzgodnić, czy wolno jej to robić, czy nie, a nasze dziedzictwo elektroniczne bezpowrotnie ginie. Już dziś wiadomo, jak trudno będzie napisać historię polskiego Internetu, bo nie zachowano treści z początku lat 90-tych. *Jeśli autor strony nie wyrazi zgody na utwalenie kopii na serwerze BN, udostępnianie tej kopii wykracza poza użytek własny. Zgodnie z obecnym stanem legislacyjnym skopiowanie, umieszczenie i prezentowanie strony internetowej utworu na obcym serwerze godzi w osobiste prawa autorskie do utworu, np. w zakresie jego nienaruszalności treści i formy oraz rzetelnego wykorzystania. Ochrona danych osobowych uniemożliwia archiwizowanie i udostępnianie zasobów polskiego Internetu.* Więcej uwag na ten temat można przeczytać w artykule opublikowanym przez pracowników BN w *Biuletynie EBIB* <http://www.nowyebib.info/biuletyn/902-ebib-12012-1284>.

Czy prawo sprzyja bibliotekom cyfrowym? Prawo autorskie ogranicza z wielu powodów tworzenie bibliotek cyfrowych, a jednym z nich jest brak rozwiązań dla skanowania dzieł osieroconych. Wiadomo, że nikomu już na nich nie zależy, nikt na nich nie zarabia, stanowią duży procent wszystkich dzieł, które mogłyby być upublicznione w Internecie. Kiedy nie ma właściciela praw, a czas ochrony nie upłynął, utwór jest zamrożony — nie służy to nikomu. Bibliotekarz, (po długich analizach i poszukiwaniach) jeśli zaryzykuje dla nauki czy edukacji i zeskanuje dzieło osierocone, działa zawsze pod wpływem stresu oraz ma poczucie przekroczenia granicy prawa. Oto dość jaskrawy przykład z Kujawsko-Pomorskiej Biblioteki Cyfrowej. W roku 2010 zeskanowano w Toruniu na prośbę starszego wiekiem badacza-historyka z Warszawy *Thorner Freiheit* — gazetę dzienną wydawaną w Toruniu w czasie II wojny światowej (1939-1945) przez NSDAP <http://kpbc.umk.pl/dlibra/publication?id=16154&tab=3>. Bibliotekarze sprawdzili, że w tym przypadku, nie ma już wydawcy, jakim było NSDAP, nie ma spadkobiercy tej organizacji, bo została uznana za zbrodniczą, ale zgodnie z prawem autorskim trzeba czekać do roku końca 2015, aż upłynie 70 lat od daty druku ostatniego rocznika. Być może prawa własności do tytułu przeszły na państwo niemieckie, ale trzeba by tu znać szczegółowo prawo międzynarodowe, czy narodowe Niemiec, żeby sobie na to pytanie odpowiedzieć. Koordynatorka KPBC podjęła decyzję o skanowaniu i upowszechnieniu tej gazety dla dobra regionu, nauki i przedsięwziętych badań historycznych. Cały zasób uzyskał status prawny *Domena publiczna (Public domain)*; *Dla wszystkich bez ograniczeń* — jakkolwiek ostatnie roczniki jeszcze nie są w domenie publicznej, będą dopiero w roku 2015. Przykład ten jest może mało niebezpieczny, bo w świetle polskiego prawa można by się w sądzie wybronić z podjęcia takiej decyzji, ale przecież są setki przykładów, przy których bibliotekarze, muzealnicy czy archiwiści nie zaryzykują takiego rozwiązania i tego typu źródła będą dostępne jedynie w zamkniętych magazynach.



Źródło skanu KPBC: <http://kpbc.umk.pl/dlibra/publication?id=16190&tab=3>.

Bibliotekom cyfrowym nie sprzyja także brak pojęcia domena publiczna w polskim prawie oraz brak jej ścisłej ochrony. Przykładem są dzieła, które już były w domenie publicznej, a po zmianie prawa wróciły pod jego ochronę. W Polsce obowiązywał kiedyś czas ochrony na 25 lat dziś jest to 70 lat od śmierci twórcy lub pierwszego upowszechnienia. Gdyby prawo nie działało wstecz, moglibyśmy już dziś mieć w bibliotekach cyfrowych tysiące utworów więcej.

Czy samoarchiwizacja w repozytoriach naukowych jest zgodna z prawem?

Naukowcy korzystający z Internetu chcą sami rozporządzać swoją twórczością i zakresem jej upowszechniania. Działają bez pośredników, a przynajmniej bez pośredników znanych z tradycyjnego obrotu twórczością. Sami zamieszczają swoje utwory w przeróżnych archiwach, bibliotekach cyfrowych czy repozytoriach. W przypadku takiego dysponowania swoją twórczością autorzy coraz chętniej korzystają z wolnych licencji, bo dają im one swobodę wyboru wariantu ochrony. Często chcą łączyć te innowacyjne formy upowszechniania, publikowania z tradycyjnym modelem, ale przeszkodą są restrykcyjne umowy zawierane z monopolistami wydawniczymi, którzy nie płacąc naukowcom żądają przeniesienia wszystkich praw i zakazują umieszczanie tekstów na platformach otwartych, takich jak repozytoria, co daje mu możliwość zwiększenia liczby cytowań i wykorzystania narzędzi sieciowych kontrolujących te cytowania (Google Scholar Citations). Bibliotekarze przez tę barierę mają kłopot z tworzeniem repozytoriów zabezpieczających dorobek naukowców i pokazujących go w Internecie.

Twórcy repozytoriów zaś nie do końca wiedzą, czy (kliknięcie) zatwierdzenie elektroniczne formularza zgody *prawnoautorskiej* wyświetlającego się autorom podczas deponowania dzieła w repozytorium skutkuje prawnie. Prawnicy zalecają dla pewności podpisywanie oddzielnych umów, co hamuje rozwój repozytoriów. Bibliotekarze borykają się także z labiryntem przepisów dotyczących praw pracodawcy (uczelni) do utworów stworzonych przez ich pracowników. Czy uczelnia ma prawo do dzieła naukowca, który otrzymuje pensję czy nie? Czy te prawa przenoszą się na prawa podatnika, który tę pensję opłaca czy nie?

Czy biblioteki akademickie mogą gromadzić i wykorzystać treści elektroniczne bez stresu? Bibliotekarze akademicy mają wiele pytań i wątpliwości prawnych, kiedy gromadzą elektroniczne pliki i je udostępniają. Dobrze byłoby, gdyby dozwolony użytek publiczny, tam gdzie wchodzi w grę dobro wspólne, cel naukowy czy edukacyjny był tak rozszerzony i doprecyzowany, by biblioteki mogły wypełnić swoje zadania statutowe także za pomocą Internetu. **Instytucje oświatowe nie powinny być zobowiązane do ubiegania się o licencje uprawnionych w celu wykorzystania utworów (np. baz danych) w edukacji.** Należałoby także zezwolić na przedruki i przesyłanie treści pomiędzy platformami edukacyjnymi (archiwum, platforma e-learningowa, radio akademickie, strony www, fora społecznościowe grup edukacyjnych), by system kształcenia na uczelni mógł sprawnie funkcjonować. Także upowszechnianie informacji o zasobach (metainformacji) stało się w dobie cyfryzacji bardzo skomplikowane. Bibliotekarz zadaje sobie wiele pytań, np.: czy w celach informacyjnych wolno mu umieścić wizerunek (plik jpg) okładki współczesnej książki w katalogu komputerowym, czy będzie naruszał może prawo grafika do udostępnienia jego dzieła w tak szczególnym miejscu? Prawo autorskie mówi, że w celach wystawowych wolno udostępnić utwór w bibliotece, ale czy wystawa elektroniczna w Internecie też wchodzi w ten zakres? Takich pytań jest bardzo dużo, a odpowiedzi niepewne.

Inną niezwykle poważną barierą w korzystaniu z utworów elektronicznych w bibliotekach są **zabezpieczenia techniczne (DRM)** stosowane nagminnie przez producentów muzyki, filmów oraz treści, które ograniczają nasze prawo do dozwolonego wykorzystania dzieła. *Dozwolony użytek nie powinien być fikcją prawną, nie wolno chronić działań polegających na technicznym ograniczaniu dozwolonego użytku – np. blokowania możliwości robienia prywatnych kopii za pomocą technicznych zabezpieczeń (DRM — Digital Rights Management).* Dlatego też *usuwanie lub obchodzenie DRM w celu umożliwienia korzystania zgodnie z dozwolonym użytkowaniem (a także szerzej – zgodnie z umową licencyjną) powinno być wyraźnie dopuszczone. Nie może to stanowić ani naruszenia praw autorskich, ani przepisów kodeksu karnego.* [1] Zabezpieczenia techniczne i niedozwolone klauzule (*nie wolno kopiować ani jednego fragmentu dzieła, nie wolno fotografować w muzeum*) uderzają w prawa jednostki do legalnego korzystania z przepisów, a niezajomość prawa powoduje, że go nie egzekwujemy.

Przytoczone przeze mnie przykłady to zaledwie wierzchołek góry lodowej, która nam narasta w miarę, jak przybywa nowych form publikowania treści czy danych, oraz stosowanych technologii komunikacyjnych. Żyjemy w ciekawych czasach, przełomowych dla metod korzystania z informacji, mediów, danych. Prawo autorskie musi ulec całkowitej zmianie, bądź być stworzone od nowa. Która opcja przeważy? Moja opinia jest taka, że należy napisać całkiem nowe prawo autorskie, które odstąpi od tradycji i obligatoryjnej ochrony, a pójdzie w kierunku wolnego wyboru chronienia tego, co do ochrony zostanie wybrane, przy jednoczesnej opiece i ochronie domeny publicznej. Wkładanie się w kolejne nowelizacje do niczego nie prowadzi, a odsuwa nas od koniecznej rewolucji w tym zakresie.

[1] W artykule wykorzystano wspólne stanowisko z założeniami reformy systemu prawa autorskiego sporządzone przez Centrum Cyfrowe Projekt: Polska razem z Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego opublikowane 23 lutego 2012 roku, autorstwa Heleny Rymar, dr Krzysztofa Siewicza we współpracy z dr Justyną Hofmokl, Jakubem Szprotem, Kamilem Śliwowskim, dr Alkiem Tarkowskim. Stanowisko jest dostępne na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska

<http://creativecommons.org/licenses/by/3.0/pl/> na stronach Centrum Cyfrowego:
<http://centrumcyfrowe.pl/projekty/reforma-prawa-autorskiego/>.

Praca ta jest udostępniona przez autorkę na licencji CC BY-SA
<http://creativecommons.org/licenses/by-sa/3.0/pl/>.